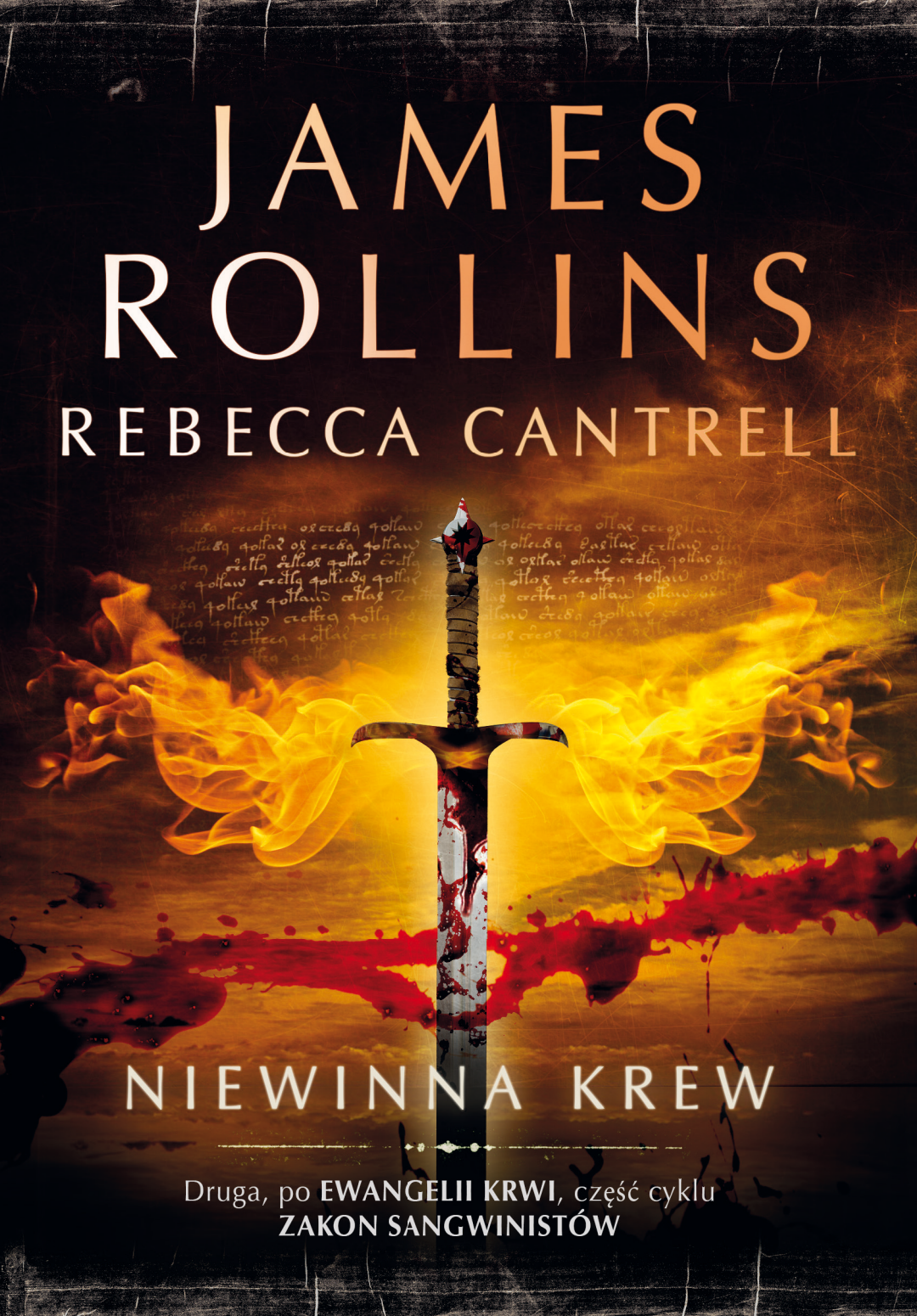


JAMES ROLLINS

REBECCA CANTRELL



NIEWINNA KREW

Druga, po EWANGELII KRWI, część cyklu
ZAKON SANGWINISTÓW

Prolog

Jerozolima

Lato 1099

Krzyki konających unosiły się ku pustynnemu słońcu, a Bernard białymi jak kość palcami ścisnął krzyż wiszący na jego szyi. Poświęcone srebro parzyło go w dłoń stwardniałą od miecza i wypalało piętno na przeklętym ciele. Zignorował swąd szerniałej skóry i wzmocnił uścisk. Godził się na ten ból.

Dzięki niemu służył Bogu.

Mijali go rycerze piesi i konni, na fali krwi wlewali się do Jerozolimy. W ostatnich miesiącach krzyżowcy przedarli się zbrojnie przez wrogie tereny. Dziewięciu na dziesięciu nie dotarło do Świętego Miasta – polegli w bitwach, zabrała ich bezlitosna pustynia albo choroby pogan. Ci, którzy przeżyli, nie kryli łez, kiedy po raz pierwszy ujrzeli Jerozolimę. Krew nie została jednak przelana na próżno, bo miasto wróci teraz do chrześcijan; było to ciężko wywalczone zwycięstwo, kosztowało życie tysiące niewiernych.

Bernard odmówił za zgładzonych krótką modlitwę.

Na więcej nie miał czasu.

Skrył się w cieniu furmanki ciągniętej przez konie i mocniej nasunął kaptur na głowę, zakrywając białe włosy i blade oblicze. Potem chwycił uzdę ogiera i pogładził jego szyję; walenie

zwierzęcego serca słyszał zarówno koniuszkami palców, jak i uszami. Lęk burzył krew wierzchowca, parował z jego spoconych boków.

Mimo to ogier szarpnął do przodu i stąpał obok Bernarda, ciągnąc po zbryzganych krwią kamieniach drewniany wóz, na którym stała żelazna klatka wystarczająco duża, by pomieścić więźnia. Szczelnie owinięta grubą skórą nie pozwalała podejrzeć, co kryje się w środku. Bernard jednak wiedział. Koń również to wiedział i nerwowo strzygł uszami, tak że trzęsała się jego zmierzwiona czarna grzywa.

Odziani w czern bracia Bernarda, rycerze z zakonu sangwinistów, posuwali się w zwartym szyku i wyrąbywali drogę przed wozem. Każdy stawiał to zadanie ponad własne życie. Walczyli z siłą i determinacją, jakim nie mógł dorównać żaden człowiek. Właśnie jeden z nich frunął wysoko w powietrze z mieczami w rękach, ujawniając w ten sposób swoją niehumanitarną naturę. Błysk stali w jego dłoniach trudno było uchwycić wzrokiem, w tej samej chwili załśniły w ustach ostre kły. Wszyscy bracia byli kiedyś – jak ten, który siedział w klatce – nieczystymi bestiami, odartymi z dusz i porzuconymi. Później Chrystus wskazał im drogę do zbawienia. Każdy z osobna zawarł z nim mroczne przymierze, zgodnie z którym nie wolno mu już było sycić pragnienia ludzką krwią, lecz jedynie konsekrowaną krwią Zbawiciela. Błogosławieństwo to pozwalało im stąpać na wpół w cieniu i na wpół w słońcu. Balansowali na ostrej jak klinga miecza krawędzi między łaską a potępieniem.

Złożyli śluby Kościołowi i służyli Bogu jako wojownicy oraz kapłani.

Te właśnie obowiązki przywiodły Bernarda i innych do bram Jerozolimy.

Furmanka toczyła się w równomiernym tempie pośród zgiełku i rzezi. Bernard pragnął, by koła obracały się szybciej. Dławił go lęk.

Trzeba się spieszyć...

Temu marszowi towarzyszyła jeszcze jedna potrzeba; pulsowała w Bernardzie głośno i natarczywie. Z mijanych murów ściekała krew i płynęła strumieniami po kamieniach. Słonawo metaliczny zapach wypełniał głowę Bernarda, zasnuwał mu mgłą widok i rozniecał głód sięgający do szpiku kości. Sangwinista oblizał wyschnięte wargi, jakby chciał posmakować tego, co zostało mu zakazane.

Nie on jeden cierpiał katusze.

Z zaciemnionej klatki dochodziło wycie bestii, która także zwęszyła rozlaną krew. Jej wrzaski przemawiały do takiego samego potwora kryjącego się w ciele Bernarda; różnica polegała jedynie na tym, że nie krępowały go żelazne kraty, lecz śluby zakonne i błogosławieństwo. Jednakże w reakcji na zew głodu zęby Bernarda wydłużyły się i zaostrzyły, łaknienie jeszcze bardziej się wzmoгло.

Odgłos ryków sprawił, że sangwiniści ruszyli naprzód ze zdwojoną siłą, jakby salwowali się ucieczką przed tym, czym byli kiedyś.

Koń tymczasem zachował się inaczej.

Usłyszawszy upiorne zawroźnienia, znieruchomiał w uprzęży.

I dobrze się stało.

Bernard pojmał demona przed dziesięcioma miesiącami w opuszczonej drewnianej stajni w pobliżu Awinionu. Przekłęte monstra tego rodzaju, znane od stuleci, różnie nazywano. Niegdyś istoty ludzkie, stały się plagą wielu ciemnych zakątków, żywiły się krwią człowieka i bydłęcia.

Uwięziwszy bestię, Bernard opatrzył klatkę grubymi skórami, żeby się do środka nie przedostała ani jedna smuga światła. Skóry chroniły ją przed palącym blaskiem dnia, wszelako tarcza taka miała swoją cenę. Bernard dawał bestii tylko tyle krwi, żeby mogła przeżyć. Ona zaś, nie mogąc się nasycić, przeraźliwie cierpiała z głodu.

Dzisiaj głód ten przysłuży się Bogu.

Cel wyprawy był już boleśnie blisko, toteż Bernard próbował popędzić wierzchowca. Pogłaskał go po spoconym nosie, jednak zwierzę nie dało się uspokoić. Naparło na jeden postronek, potem na drugi, próbując się wyrwać.

Wokół uwijali się bracia sangwiniści w dobrze znanym bitewnym płąsie. Krzyki ginących odbijały się echem od obojętnych kamieni. Bestia w klatce waliła w skórzane zasłony niczym w bęben i wyła, domagając się, by dopuszczono ją do rzezi, żeby mogła posmakować krwi.

Koń zarżał jękliwie i z przerażenia szarpnął raptownie łbem.

Z pobliskich uliczek i zaułków niósł się swąd spalonej wełny oraz ludzkich ciał. Krzyżowcy podkładali ogień w niektórych częściach miasta. Bernard obawiał się, że mogą zrównać z ziemią dzielnicę Jerozolimy, do której chciał się dostać – tę, w której spoczywał święty oręż.

Widząc, że koń na nic już mu się nie przyda, dobył miecza. Kilkoma zręcznymi cięciami przerwał skózaną uprząż. Uwolniony ogier nie potrzebował innej zachęty. Skoczył ile sił do przodu, potracił jednego z sangwinistów i galopował, nie zważając na masakrę.

Szczęśliwej drogi, pomyślał Bernard.

Podszedł do tylnej części wozu; wiedział, że żadnemu członkowi zakonu nie wolno się uchylać od bitwy. Ostatni etap podróży musi pokonać sam.

Tak jak uczynił Chrystus z brzemieniem krzyża.

Schował miecz do pochwy i przystawił bark do tyłu wozu.

Sam dopchnie go do celu. W innym życiu, kiedy jego serce wciąż biło, był krępkim mężczyzną pełnym energii. Teraz z jego siłą nie mogła się równać siła żadnego śmiertelnika.

Zawiesisty posmak krwi zamienił powietrze w wilgotną zupę. Bernard zaczerpnął go w płuca, lekko się zachłystując. Skraj jego

poła widzenia mąciła czerwona żądza. Chciał napić się z każdego mężczyzny, kobiety i dziecka, którzy byli w mieście. Pragnienie przepełniało go do granic eksplozji.

Chwycił parzący krucyfiks i pozwolił, by uspokoił go święty ból.

Zrobił powolny krok; koła obróciły się raz, potem drugi. Każdy obrót zbliżał go do kresu wędrówki.

Jednakże krokom Bernarda towarzyszył uporczywy lęk.

A może już się spóźniłem?

. . .

Słońce zniżało się do horyzontu, kiedy dobiegł wreszcie do celu. Drżał z wyczerpania, zużył prawie cały zapas swojej przeogromnej fizycznej mocy.

Przy końcu ulicy, za ostatnim punktem oporu obrońców miasta, ku obojętnemu błękitowi nieba pięła się ołowiana kopuła meczetu. Jego białą ścianę znaczyły ciemne plamy krwi. Bernard słyszał z daleka bicie zatrwożonych serc mężczyzn, kobiet i dzieci, którzy schronili się w grubych murach.

Napierając na tył wozu, wsłuchiwał się w modły o litość, które zanosili do swojego obcego boga. Nie zaznają jej od bestii uwięzionej w klatce na wozie.

Ani od Bernarda.

Ich małe żywoty blakły w obliczu nagrody, której poszukiwał: oręża dającego nadzieję na oczyszczenie świata z wszelkiego zła.

Myśl o niej rozproszyła uwagę Bernarda i koło zapadło się w głęboką szczelinę między kamieniami. Zakleszczyło się i wóz stanął.

Niewierni, jak gdyby wyczuwając przewagę, przebili się przez obronny szereg wokół wozu. Chudzielec z potarganą dziko czupryną rzucił się w kierunku Bernarda, błyskając zakrzywioną szablą. Chciał poświęcić własne życie, by bronić meczetu i rodziny.

Bernard przyjął ten dar i rozplatał śmiałka szybkim jak błyskawica cięciem stali.

Gorąca krew chlusnęła na jego kapłańską szatę. Mimo że było to dozwolone jedynie w skrajnych okolicznościach i potrzebie, dotknął płamy palcami i uniósł je do ust. Zlizał z nich szkarłatną wilgoć. Tylko krew mogła mu dać siłę, by zdołał przeć dalej. Później odpokutuje, przez setki lat, jeśli będzie trzeba.

Język zapłonął mu ogniem, który rozpląnął się po całym ciele, i do członków powrócił wigor. Pole widzenia Bernarda zawężyło się do punktu. Oparł ramię o tył wozu i potężnym pchnięciem wprowadził go znowu w ruch.

Na wargach zagościła modlitwa; Bernard prosił o siłę i przebaczenie grzechu.

Popychał wóz, a jego bracia torowali mu drogę.

Wejście meczetu ukazało się w chwili, gdy jego ostatni obrońcy ginęli na progu. Bernard zostawił wóz, zbliżył się do zakratowanych drzwi i otworzył je kopnięciem o sile nieosiągalnej dla zwykłego mężczyzny.

Z wnętrza doleciały okrzyki przerażenia, odbiły się echem od pokrytych ornamentami ścian. Trwoga wyznaczała rytm bicia serc, były zbyt szybkie i było ich zbyt wiele, by dało się wyodrębnić pojedyncze. Zlewały się w jeden odgłos niczym szum morza. W mroku pod kopułą błyszczały przeleżnione oczy.

Bernard stanął w drzwiach, żeby te oczy mogły go zobaczyć na tle gorejącego miasta. Niech rozpoznają kapłańskie szaty i srebrny krzyż, niech widzą, że to chrześcijanie ich zwyciężyli.

Najważniejsze jednak, by ci, którzy kryją się w meczecie, zrozumieli, że nie zdołają ująć.

Inni sangwiniści podeszli do Bernarda i ustawili się z nim ramię w ramię. Nikt się nie wymknie. Woń strachu przepełniała olbrzymi meczet, od terakotowej posadzki aż po kopułę.

Bernard jednym susem znalazł się znów obok wozu. Uniósł klatkę i pociągnął ją do drzwi; żelazne dno zgrzytnęło o kamienne stopnie, zostawiało na nich długie czarne krechy. Mur sangwinistów

rozstąpił się przed nim, a potem znów się zamknął.

Klatka zakołysała się, gdy Bernard postawił ją na wypolerowanych płytach z marmuru. Miecz jednym cięciem strzaskał zamek. Bernard cofnął się i szarpnięciem otworzył pokryte rdzą drzwi. Skrzypiący odgłos zagłuszył puls i oddechy.

Stwór poruszył się, po raz pierwszy od wielu miesięcy wolny. Długie ramiona wysunęły się, jakby szukając od dawna znanych krat.

Bernard z trudem rozpoznawał w nim istotę, która była niegdyś człowiekiem: skóra przybrała trupio blade odcień, złociste włosy urosły i zmierzwiły się na plecach, kończyny były cienkie jak odnóża pająka.

Przerażeni ludzie cofnęli się na widok bestii, cisnęli się do ścian, w panice tratując innych. Wionęła od nich nikła woń krwi i strachu.

Bernard uniósł miecz i czekał, aż bestia się do niego odwróci. Nie mógł pozwolić, by wydostała się na ulicę. Miała zadanie do spełnienia tutaj. Musi splugawić święte miejsce nikczemnością i bluźnierstwem. Musi zmasakrać każdą cząstkę sacrum, która mogła się w nim ostać. Dopiero wtedy będzie je można ponownie poświęcić Bogu Bernarda.

Jak gdyby posłyszawszy jego myśli, bestia uniosła głowę i zobaczył jej pomarszczone oblicze. Bliźniacze oczy łysnęły mlecznymi białkami. Od dawna trzymano ją z dala od słońca, a była już sędziwa, kiedy ją przemieniono.

Jakieś dziecko zakwiliło w meczecie.

Takiej pokusie bestia nie mogła się oprzeć.

Chude jak kości członki mignęły, gdy sprężyła się i dała susa w stronę ofiary.

Bernard opuścił miecz, nie musiał już pilnować wściekłej bestii. Obietnica krwi i cierpienia zatrzyma ją jakiś czas w tych murach.

Zmusił stopy, by podążyły w ślad za nią. Krocząc pod kopułą meczetu, zamykał uszy na zawrodożenia i modlitwy. Odwracał

wzrok od rozszarpanej skóry, od ciał, nad którymi przechodził. Nie pozwalał sobie reagować na obezwładniającą moc zapachu ludzkiej krwi, który wypełnił powietrze.

Mimo to monstrum, które się w nim kryło, świeżo pokrzepione paroma kropelkami purpury, nie dało się całkowicie okiełznać. Pragnęło przyłączyć się do uczty tamtej bestii, pożywić się i zatracić w zaspokajaniu elementarnej potrzeby.

Nasycić się, nasycić się naprawdę po raz pierwszy od lat.

Bernard przyspieszył kroku, bojąc się, że straci nad swoim monstrum panowanie i ulegnie żądzy. Dotarł do schodów po przeciwnej stronie wnętrza.

Tam zatrzymała go cisza.

Ustało już bicie wszystkich serc. Wszystko zamarło i on też stanął jak wryty. Tylko poczucie winy dźwięczało w nim jak bicie dzwonu.

Nagle pod kopułą rozległ się nienaturalny wrzask. To sangwiniści zaszlachtowali bestię, kiedy ta wypełniła już swoje zadanie.

Boże, przebacz...

Uwolniony od ciszy, pospieszył schodami w dół, a potem korytarzami wijącymi się pod meczetem. Prowadziły go coraz głębiej w trzewia miasta. Gęsty odór rzezi ścigał Bernarda niczym duch przemykający w cieniu.

Nagle pojawił się inny zapach.

Woda.

Bernard opadł na czworaki, wczuł się do ciasnego tunelu i dojrzał migający płomień pochodni. Światło przyciągało go niczym ćmę. Na końcu tunelu otwierała się jaskinia wystarczająco wysoka, by można było stanąć.

Pozbierał się na nogi. Na ścianie wisiła pochodnia z witek, rzucająca migotliwy blask na lustro czarnej wody. Wysokie sklepienie było pokryte sadzą gromadzącą się tam od pokoleń.

Postąpił krok, gdy wtem zza głazu wysunęła się kobieta. Kosmyki lśniących hebanowych włosów spływały na ramiona okryte prostą tuniką, nieskazitelnie gładka, ciemna skóra połyskiwała odcieniem umbrzy. Na smukłej szyi wisiał na cienkim złotym łańcuchu odłamek metalu długości dłoni. Spoczywał między jej kształtnymi piersiami, które rozpychały stanik z czystego lnu.

Od dawna już był kapłanem, lecz ciało zareagowało na jej powab. Ledwo się zmusił, by zerknąć nieznajomej w oczy. Zmierzyła go jasnym spojrzeniem.

– Ktoś ty? – spytała.

Nie słyszał bicia serca w jej piersi, mimo to rozumiał intuicyjnie, że kobieta nie jest ani taka jak bestia, którą przywiózł w klatce, ani taka jak on. Nawet z tej odległości czuł emanujące od niej ciepło.

– Czy to ty jesteś Panią Studni?

Takie imię znalazł zapisane na skrawku starożytnego papirusu wraz z planem podziemi.

Zignorowała jego pytanie.

– Nie jesteś gotów na to, czego szukasz – oznajmiła. Mówiła po łacinie, lecz z akcentem, który brzmiał bardziej nawet staroświecko niż akcent Bernarda.

– Szukam tylko wiedzy – odparł.

– Wiedzy? – Słowo to wypłynęło jej z ust niczym lament żałobny. – Tu znajdziesz jeno rozczarowanie.

Musiała wyczuć jego determinację, bo odstąpiła na bok i ciemną dłonią o pięknych długich palcach skinęła w kierunku sadzawki. Górną część jej ręki okalała wąska bransoleta ze złota.

Bernard przeszedł obok kobiety i ich ramiona prawie się o siebie otarły. W ciepłym powietrzu zatańczyła subtelna woń kwiatów lotosu, która ją otaczała.

– Zostaw odzienie – rozkazała. – Do wody musisz wniść nago, jako z niej kiedyś wyszedłeś.

Na skraju sadzawki Bernard gmerał przy szacie, zmagając się z

nieprzystojnymi myślami, które hulały mu w głowie.

Kobieta się nie odwracała.

– Sprowadziłeś wiele śmierci na to święte miejsce, kapłanie krzyża.

– Zostanie oczyszczone – odparł, żeby ją ułagodzić. – I poświęcone jednemu Bogu.

– Jednemu tylko? – W jej głębokich oczach obudził się smutek.
– Taki jesteś pewny?

– Jestem.

Wzruszyła ramionami. Tunika spadła z jej ramion i zaszeleściła na szorstkiej kamiennej posadzce. Blask pochodni wydobył z mroku ciało tak doskonałe, że Bernard zapomniał o złożonych ślubach i gapił się zuchwale. Jego wzrok spoczął chwilę na krągłościach pełnych piersi, na brzuchu, na linii długich umięśnionych ud.

Odwróciła się i zanurkowała w ciemną wodę, ledwie marszcząc jej powierzchnię.

Bernard pospiesznie rozpiął pas, ściągnął z nóg zalane krwią buty i zerwał z siebie habit. Nagi wskoczył do wody. Lodowata woda zmyła krew z jego skóry. Ten chrzest uczynił go na nowo niewinnym.

Wydmuchnął powietrze z płuc, gdyż jako sangwinista go nie potrzebował. Zanurzył się głęboko i popłynął za kobietą. Gdzieś w oddali mignęły białą jej stopy, a potem obróciła się na bok zwinnie jak ryba i znikła.

Bernard mocniej zamachał nogami, jej jednak nigdzie nie było widać. Dotknął pectorału i pomodlił się o wskazówkę. Szukać nieznanomej czy kontynuować misję?

Odpowiedź była prosta.

Odwrócił się i popłynął przed siebie krętymi korytarzami wedle wskazań planu, który miał w głowie. Na skrawkach starożytnego papirusu przedstawiony był szlak prowadzący do tajemnicy ukrytej

głęboko pod powierzchnią Jerozolimy.

Mknął tak szybko, jak pozwalała mu odwaga, sunął przez płataninę tuneli. Śmiertelnik już wiele razy postradałby życie. Bernard jedną ręką dotykał ściany i liczył odnogi. Dwa razy dotarł do ślepego zaułka i musiał zawracać. Borykał się ze strachem, mówił sobie, że źle odczytał plan; powtarzał, że miejsce, którego szuka, naprawdę istnieje.

Jego desperacja stała się bolesna jak ukłucie szpilą, lecz raptem obok niego w lodowatej toni przemknęła jakaś postać, tak że poczuł jedynie ruch wody na skórze. Kierowała się w stronę, z której nadpłynął. Zdjęty nagłą trwogą sięgnął po miecz i wtedy przypomniał sobie, że pozostawił go wraz z ubraniem.

Wyciągnął ręce, ale wiedział, że kobieta już się oddaliła.

Odwrócił się w kierunku, z którego przybyła, i z nowym wigorem zamachał nogami. Pokonał narastający w piersi lęk, że będzie wiecznie błądził w ciemności i nigdy nie odnajdzie tego, czego szuka.

W końcu dotarł do okazałej groty.

Nic nie widział, ale zdawał sobie sprawę, że znalazł właściwe miejsce. Woda była tam cieplejsza i miała w sobie esencję świętości, od której swędziała go skóra. Podpłynął w bok, wyciągnął ręce i dotknął ściany.

Poczuł pod dłońmi wzór wyżłobiony w skale.

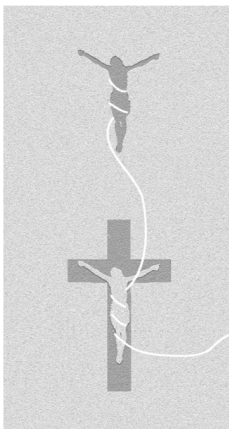
Nareszcie...

Jego palce wędrowały po powierzchni kamienia, chciał zrozumieć wykute na nim wizerunki.

Obrazy, które mogły przynieść mu ocalenie.

Które mogły go doprowadzić do świętego oręża.

Wyczuł pod palcami zarys krucyfiksu i rozpiętą na nim postać mężczyzny. Wyżej znajdowała się ta sama postać z twarzą skierowaną w górę oraz ramionami wyciągniętymi ku niebu. Unoszącą się duszę i ciało przybite do krzyża łączyła linia.



Przesuwając po niej palcami, czuł pieczenie w ich koniuszkach, była bowiem zrobiona z najczystszej srebra. Od krzyża biegła po zakrzywionej ścianie ognista ścieżka wiodąca do sąsiedniego rysunku. Był to wizerunek gromady mężczyzn z mieczami, którzy przyszli pojąć Chrystusa. Dłoń Zbawiciela dotykała głowy jednego z nich.

Bernard wiedział, co przedstawia ów rysunek.

Uzdrowienie Malchusa.

Ostatni cud, którego Chrystus dokonał przed zmartwychwstaniem.

Płynąc wzdłuż ściany jaskini, Bernard przesunął dłonią po wyobrażeniach licznych cudów, które Jezus sprawił za życia: rozmnożenie ryb, wskrzeszanie umarłych, uzdrawianie trędowatych. Kreślił je sobie w myślach, jakby je widział. Miarkował nadzieję i uniesienie, które w nim narastały.

Wreszcie dotarł do rysunku przedstawiającego ślub w Kanie Galilejskiej, podczas którego Chrystus zamienił wodę w wino. Był to pierwszy odnotowany cud Zbawiciela.

Jednakże srebrne pasmo wiodło dalej i płonęło w ciemności.

Ale dokąd? Czyżby miało ujawnić nieznane wydarzenia?

Bernard, posuwając się za nim, dotarł do części skalnej ściany, która kruszyła się pod jego palcami. Gorączkowo zataczał po niej dłońmi coraz to szersze łuki. Odłamki poskręcane srebro wbite w kamień paliły mu ogniem ręce. Ból go otrzeźwił i zmusił, by stanął twarzą w twarz ze swoim największym strachem.

Ta część obrazu została zniszczona.

Rozpostarł ręce na ścianie, aby objąć jak największą część rytu. Z informacji zawartej na skrawkach starożytnego papirusu wynikało, że historia objawień Chrystusowych wskazuje miejsce ukrycia najświętszego oręża – oręża, który pozwalał jednym dotknięciem zgładzić najmocniejszą nawet potępioną duszę.

Bernard unosił się w wodzie i znał już prawdę.

Tajemnica została unicestwiona.

A on wiedział, czyją ręką.

Rozbrzmiały mu w głowie jej słowa:

Wiedzy? Tu znajdziesz jeno rozczarowanie.

Uznała go za niegodnego, przypląnęła prosto do tego miejsca i zniszczyła święty ryt, zanim Bernard zdążył go zobaczyć. Jego łzy mieszały się z zimną wodą. Płakał nie za tym, co obróciło się wniwecz, lecz z powodu surowszej prawdy.

Zawiodłem.

Śmierć każdego, kto dzisiaj zginął, poszła na marne.

1

Palo Alto, Kalifornia

18 grudnia, 9.58 czasu miejscowego

Ostry jak brzytwa lęk utrzymywał ją w napięciu.

Doktor Erin Granger, wchodząc do sali wykładowej w kampusie Uniwersytetu Stanforda, upewniła się wzrokiem, czy jest sama. Przykucnęła nawet i zajrzała pod puste krzesła, by mieć pewność, że nikt się tam nie chowa. Jedną jej rękę spoczywała na pistolecie Glock 19, który trzymała w kaburze na kostce nogi.

Był piękny zimowy poranek, słońce wisiało na czystym błękitnym niebie przetykanym chmurami. Przez wysokie okna wlewało się do wnętrza jasne światło, nie miała więc powodu, by bać się ciemnych stworów, które nękały ją w snach.

Mimo to po wszystkim, co na nią spadło, miała świadomość, że bliźni także zdolni są do czynienia zła.

Wyprostowała się, podeszła do mównicy i westchnęła cicho z ulgą. Wiedziała, że jej lęki nie mają logicznego uzasadnienia, to jednak nie powstrzymało jej przed sprawdzeniem, czy w sali, do której za chwilę wsypie się gromada młodzieży, jest bezpiecznie. Studenci potrafili być niesłuchanie denerwujący, lecz Erin gotowa była walczyć na śmierć i życie, by żadnego z nich nie spotkała krzywda.

Nie zawiedzie po raz drugi swoich studentów.

Jej palce zacisnęły się na skórzanej torbie, którą trzymała. Nakazała sobie siłą woli, by je rozewrzeć, i położyła ją obok pulpitu wykładowcy. Wciąż wodząc wzrokiem po sali, otworzyła torbę i wyjęła notatki do wykładu. Zazwyczaj uczyła się ich na pamięć, ale tę grupę przejęła po wykładowczyni, która odeszła na urlop macierzyński. Tematyka była ciekawa i pozwalała jej oderwać myśli od wydarzeń, które wywróciły jej życie do góry nogami. Wszystko zaczęło się od śmierci dwojga magistrantów w Izraelu przed paroma miesiącami.

Heinricha i Amy.

Niemiecki student zmarł od obrażeń odniesionych po trzęsieniu ziemi. Śmierć Amy nastąpiła później, zabito ją, bo Erin nieświadomie przesłała studentce zakazaną informację. Młoda kobieta zginęła właśnie z powodu tej wiadomości.

Archeolożka potarła dłonie, jak gdyby usiłowała z nich zetrzeć krew, ślad odpowiedzialności. W sali nagle jakby powiało chłodem. Temperatura na dworze nie przekraczała dziesięciu stopni, wewnątrz było niewiele więcej. Jednakże dreszcz, który wstrząsnął Erin, kiedy przesuwiała papiery, nie miał nic wspólnego z działaniem centralnego ogrzewania.

Po powrocie na uczelnię, do domu, powinna się poczuć dobrze z rutyną codziennych zajęć uniwersyteckich, które miały potrwać aż do ferii Bożego Narodzenia.

Tak się jednak nie stało.

Nic bowiem nie było już takie samo.

Wyprostowała się i przygotowała do rozpoczęcia wykładu. Studenci wchodzili pojedynczo i dwójkami, kilkoro zeszło na sam dół i usadowiło się w przednich rzędach; większość jednak pozostała z tyłu i zajmowała miejsca na górze.

– Pani profesor?

Erin zerknęła w bok i zobaczyła chłopaka z pięcioma kolczykami w brwi. Zbliżył się do niej z wyrazem determinacji na twarzy. Na

jego ramieniu wisiał aparat z długim obiektywem.

– Tak? – powiedziała, nie starając się ukryć irytacji.

Chłopak położył na drewnianym blacie złożony skrawek papieru.

Inni studenci patrzyli na to z udawaną obojętnością, ale grali swoje role nieprzekonująco. Była świadoma, że jej się przyglądają i zastanawiają, jak się zachować. Nie musiała rozkładać świstka; wiedziała, że widnieje na nim numer telefonu.

– Jestem ze „Stanford Daily” – oznajmił chłopak, dotykając palcem kolczyka w brwi. – Pomyślałem, że może udzieli mi pani krótkiego wywiadu dla szkolnej gazetki?

Przesunęła kartkę w jego stronę.

– Nie, dziękuję.

Od powrotu z Rzymu Erin odmawiała udzielania wywiadów. Nie przerwie milczenia również teraz, zwłaszcza że zezwolono jej wyłącznie na łgarstwa.

W celu zatajenia prawdy o tragicznych wydarzeniach, które pociągnęły za sobą śmierć dwojga studentów, spreparowano bajeczkę o tym, że po trzęsieniu ziemi w Masadzie Erin przez trzy dni tkwiła uwięziona w rumowisku. Fałszywa wersja miała głosić, że znaleziono ją żywą wraz z pewnym wojskowym, sierżantem Jordanem Stone’em, oraz jedynym magistrantem, który przeżył, Nate’em Highsmithem.

Rozumiała, że istnieje konieczność ukrywania wydarzeń, które nastąpiły w czasie jej pobytu w Watykanie. Tego zdania było także wąskie grono osób w rządzie znających prawdę. Opinia publiczna nie była gotowa na wieści o potworach czających się w mroku nocy, o ciemnej podszewce ludzkiego świata.

Mimo to Erin ani się śniło opowiadać bajdy.

Tymczasem student z kolczykami nie ustępował.

– Pozwolę pani profesor przejrzeć tekst, nim go zamieszcze. Jeśli nie spodoba się pani choćby jedno słowo, dopracujemy go razem.